Nr. 12. Rok I.



Cena prenumeraty: kwartalnie w miejscu 15 sbr., na prowincji 18 sbr. 9 fen., w Krakowie i Lwowie 1 złtr. 20 c., w Galicji i w innych krajach austryackich 1 złr. 40 c.

Poznań, 18 Marca 1871.

Redakcja przy ulicy Berlińskiéj Nr. 11.
Ajencje:
Lwów: Milikowski, Gubrynowicz i Schmidt.
Kraków: Friedlein, Józef Czech.

Od Redakcji.

Miejscowych abonentów pisma naszego zawiadomiamy niniejszem, że od 1go kwietnia odbierać będą Tygodnik co sobotę bez żadnej dopłaty za przesyłkę. W tym celu upraszamy o podawanie dokładnego adresu w Eksp. Dzien. Poznańskiego, która przyjmuje prenumeratę na cały Poznań.

Zamiejscowym abonentom obowiązana jest poczta dostarczać Tygodnik regularnie, i do niéj należy zanosić wszelkie zażalenia, gdyż tutejszy urząd pocztowy odbiera każdy numer co tydzień w piątek.

Przyjaciołom naszym z Krakowa i Lwowa donosimy, że pierwszym na ręce p. Friedleina, drugim zaś przez pp. Gubrynowicza i Schmidta pismo nasze przesyłamy.

Z prac obszerniejszych pomieścimy w następnych ćwierćroczach:

1. **Historja siwego włosa**, powieść współczesna Władysława Łozińskiego.
2. **Filozofja natury**, przez Henryka Levittoux, krytycznie przedstawiona przez Karola Libelta.
3. **Ksiądz Franciszek Ksawery Malinowski** — jego życie i naukowe prace — przez Dr. L. Rzepeckiego.
4. **Strzaskana lutnia**, z wspomnień ostatniego powstania — poemat Hen. Merzbacha.
5. **Kajetan Węgierski** — studjum literackie Walerego Przyborowskiego.
6. **O Mazurach** — przez Dr. Wojciecha Kętrzyńskiego.
7. **Naród zmartwychpowstały**, przez Łukasza Wielkopolanina.
8. **Studjum psychologiczne nad Poznańskiem**, przez Poznańczyka.
9. **Wspomnienia Ułana** z 1863 r. zebrał Zygmunt Lucjan Sulima.
10. **Wycieczka do Saskiéj Szwajcarji**, przez Hr. na Lodowéj Turni.
11. **Kilka kartek do filozofji**, przez Czesława Mazepę.
12. **Żywot św. Wojciecha w obec historji.**

OŁGA,
księżna Ruska.

Naszkicował
ks. Lic. Cht.
(Ciąg dalszy.)

VII.

Zaprowadziwszy jaki taki ład w domu, pozostawia Ołga syna w Kijowie, pod opieką piastuna jego, Asmąda, i wybiera się na siedmioletnią wyprawę do Grecji.[1]) Co było powodem do tego awanturowania się podeszłéj już naonczas w lata naszéj księżnéj, trudno dociec, w żadnym jednak razie nie to, co powiada Nestor. Wedle niego bowiem Ołga poszła w Greki i zaszła do Carogrodu, a cesarz Konstantyn, syn Leona „widząc ją, że jest bardzo piękna licem i rostropna“ zapragnął jéj ręki, ale Ołga wymówiła się tem, że jest poganką. Kiedy zaś ochrzcić się dała a cesarz na ojca chrzestnego się dał uprosić, wtedy Ołga sama przypomina mu kanoniczną przeszkodę, jaka zaszła pomiędzy nimi, i uwalnia się w ten sposób od natręta. Jak uważa Schlözer[2]), cały ten romans jest dosyć niezgrabnie pomyślany, bo nasza księżna mogła już wtedy mieć lat prawie 70, i pewnie o wdziękach niewiele już tam mogło być mowy.

Z drugiéj strony po spacerze nie poszła Ołga do Grecji, i dla zabawki lat siedmiu nie byłaby strawiła „stojąc długo w cieśninie“ — jak to sam Nestor późniéj powiada. Bo po jéj powrocie do Kijowa przysłał do niej cesarz grecki, mówiąc: „Obdarzyłem cię hojnie, bowiem mówiłaś mi: Gdy wrócę na Ruś, przyślę ci mnogie dary, niewolników, wosk i skóry, i wojsko mnogie ku pomocy. Odpowiadając Ołga, rzekła posłom: Powiedzcie cesarzowi: Jeśli ty tak długo stać będziesz u mnie w Poczajnie, jak długom ja stała w cieśninie, wtedy ci dam.“[3]) To długie stanie w cieśninie niewątpliwie niczem innem nie było, jak oblężeniem, którem nasza Ołga zmusiła cesarza do zawarcia pokoju i uiszczenia się z danin, przyrzeczonych poprzednim mirem Igorowi. Mamy tu za sobą Sarnickiego,[4]) z tą tylko różnicą, że wedle niego Ołga z cesarzem Janem Ziemiszką pokój zawarła.

Niewątpliwie pomysł to był wcale znakomity, na jaki wpadł owczesny cesarz grecki, żeby pozyskać dla chrześciaństwa naszą Ołgę, a w dalszéj konsekwencji i resztę Rusinów. W ten tylko sposób można było liczyć na trwałą zgodę i mir, i w ten też sposób pozyskano już sobie Bułgarów, a nadzieja zdawała się uśmiechać Konstantynopolowi, że może i Rusinów straszliwe najazdy ustaną w ten sposób. Nic im bowiem nie było łatwiejszego, jak na małych łodziach Dnieprem dostać się do morza[5]) i pustoszyć Grecją.

Z drugiéj strony Ołdze nieobcą była wiara w prawdziwego Boga, bo jakeśmy to wyżéj już wspomnieli, za jéj męża, Igora, już była w Kijowie cerkiew soborna, gdyż „wielu Waregów było chrześcianami“[1]) — i ta chrześciańska Ruś składała osobno przysięgę na pokój, zawierany wonczas z Grekami. — Waregowie przybywający ze Skandynawji, przynosili ze sobą światło wiary, — a wśród ustawicznych wojen z Grekami niejeden z jeńców wracał z niewoli, niosąc z sobą skarb i światło chrześciańskiéj nauki. O takim Waregu, który „przyszedł z Grecji i wyznawał potajemnie religją chrześciańską“ czytamy nieco późniéj w Nestorze,[2]) że go za Włodzimierza bogom na „żertwę“ zabito wraz z synem. Często też już pierwéj wysyłali Grecy misjonarzy, którzy z różnym skutkiem roznosili światło wiary w Chrystusa Pana, a książęta Kijowscy: Askold i Dir, zabici przez Olega, uważani i czczeni są przez Rusinów, jako pierwsi tegoż kościoła męczennicy. Być więc łatwo może, że Ołga znała już chrześciaństwo i ztąd łatwo się dała do przyjęcia chrztu św. namówić.

Coś podobnego działo się późniéj na Litwie za Gedymina, Olgierda i dwojga Olgierdowiczów, gdzie połowa dworu, mianowicie niewieścia była chrześciańską, i ztąd przyjęcie Chrześciaństwa przez książąt Litwy, było tylko kwestją niedługiego czasu.[3])

Oceniając tedy należycie doniosłość aktu tyle ważnego, dokonano z całym przepychem, wschodniemu Kościołowi właściwym, obrzędów chrztu św., a pragnąc mieć Ołgę tem dla Rusi, czem kiedyś dla Chrześciaństwa całego była matka cesarza Konstantyna, dano jéj na chrzcie ś. imie Heleny. Cesarz sam był ojcem chrzestnym, a chrztu udzielał sam patryarcha Teofilakt, syn cesarza Konstantyna VIII., w otoczeniu całego duchowieństwa swego.[4])

VIII.

Obdarzona licznemi i wspaniałemi darami, wracała Ołga do kraju, niepewna wszelako, czy dobrze przyjmie syn jéj i cała przyboczna waregskich „karłów i gudów“ i słowiańskich bajarów drużyna, to jéj porzucenie bożyszcz pogańskich. Dla tego też mówi przy pożegnaniu do błogosławiącego jéj patryarchy, te pełne obawy słowa: „Ludzie moi poganie i syn mój, oby mnie Bóg strzegł od wszystkiego złego.“[5]) Za nadto był wprawdzie lud cały przywykły do czci, uległości i uszanowania ku wielkiéj swéj kniahini, aby jéj się było mogło stać co złego, ale jak się zdaje, jéj starania o rozszerzenie chrześciaństwa nielicznemi tylko uwieńczyły się owocami. Wymogła wszelako wpływem i powagą swoją tyle, że wolno było na Rusi jawnie czcić ukrzyżowanego Boga, bo syn jéj, Świętosław, nie wzbraniał nikomu, gdy kto chciał dobrowolnie się ochrzcić, „jeno szydził z niego.“ A skoro kniaź szydził z chrześcian, mało pewnie kto z wyżéj postawionych u dworu śmiał przyjąć chrześciańską wiarę. — Niewątpliwie musiał mieć Świętosław inne — ważniejsze powody, krom pogańskiego zaślepienia, a najpewniéj odstraszał go od przyjęcia chrześciaństwo wstręt do Greków, których wpływu i przewagi się obawiał w razie przyjęcia od ich nauczycieli nowéj wiary.

---

1) Wedle Nestora od 956 — 963.

2) Schlözer: Russiche Annalen in ihrer slav. Grundspr. vergl. übers. u. erkl. Götting. 1802 — 9. Bd. 1.

3) Nestor p. 604 — 5.

4) Sarnicki: Annalium Polonicorum L. VII. wyd. Lipsk. 1712. Cap. I. p. 1039. „Quomodo autem eadem Holha Constaninopolim cum valido exercitu adierit eamque obsederit, ac demum cum Joanne Zemiszka, imperatore Orientis, iuduciis factis, in gratiam redierit, haec in annalibus Moschorum, Russorum et Polonorum abunde describuntur.“

5) Przytaczając na wstępie pracy niniejszéj opis Dniepru wedle Rudawskiego, zapomnieliśmy wspomnieć o tem, że Dniepr, jak wiadomo, tylko jednem ujściem wpada do morza czarnego, wszystkie jednak rękopisy Nestora mówią: „a Dniepr wteczet w ponetskoje more tremi żerely.“ Jedyny rękopis Ławrętego ma: „wteczet w ponetskoje more żerełom“ — który to pleonazm słusznie Bielowski (Obj. Nest. p. 840) uważa za poprawkę przepisywacza. —

---

1) Nestor p. 596.

2) Nestor p. 625.

3) Szajnocha: Jadw. i Jag. T. I. p. 264., Narbutt Dz. Litw. 234. Dodat. X.

4) O pobycie Ołgi w Konstantynopolu donosi sam ten cesarz, Konstantyn, w dziele swojem: „O ceremonjach dworu bizantyńskiego“ II. 15. Bielowski Obj. Nest. p. 855.

5) Nestor p. 605.

Ale i Ołga musiała znać powody, dla których starszyzna Ruska odradzała kniaziowi przyjęcie chrztu św. i ztąd, pragnąc koniecznie pozyskać ich do chrystusowéj wiary, umyśliła wysłać poselstwo w inne strony, zkądby przyjmując naukę i zbawienie, nie potrzebował się kniaź obawiać wpływów i intryg greckich. — Byłoby bezwątpienia najprostszem, posłać po słowiańskich kapłanów, bo bratnia ich mowa i obrządek ich byłyby na Rusi łatwy wstęp znalazły, tem więcéj, że — jak się domyślać godzi — u Polan Kijowskich chrześciaństwo w tym właśnie obrządku przeważnie było znane. Atoli nawał Węgrów wywracając wielkie państwo Morawy (900 — 909) obalił stolicę ś. Metodego a „w powszechnem rozbiciu chrześcianie obu obrządków, schronili się za Karpaty do lachickiéj Chrobacji, mianowicie w Krakowske i Wiślickie okolice“.[1]) — Była to więc chwila pwszechnego pogromu dla słowiańskiego obrządku, i Mieczysław I. w Polsce już wtedy w łacińskim obrządku chrzest przyjmował.

Nie pozostawało tedy Helenie nic innego, jak wysłać poselstwo do cesarza niemieckiego, Ottona, i prosić go o misjonarzy. — Otton obchodził właśnie święta Bożego Narodzenia w Frankfurcie (959) i tutaj przyjął — rozumie się bardzo łaskawie — posłów naszéj Ołgi. Bo cesarze niemieccy, jak nam to wszystkim wiadomo, zawsze mieli najszczersze przekonanie, że cały świat, mianowicie na wschodzie, do chrześciaństwa przez nich nawrócony, do ich lenniczych winien się liczyć krajów. Ztąd uśmiechała się teraz nadzieja daleko sięgających wpływów aż po brzegi Dniepru a może — może jeszcze daléj.

Rozkazuje więc niebawem Libucjusza, jednego z zakonników św. Albana, wyświęcić na biskupa Rusi, a obrzędu dokonuje Adaldago, biskup Bremeński. Niefortunnym był jednak ten wybór i jak na początek złowieszczy, bo Libucjuszowi nie spieszno było wyruszyć w kraj odległy, obcy i nieznany, i zwłóczył z dnia na dzień swój wyjazd, aż go śmierć niewczesna tegoż jeszcze roku zaskoczyła. W jego tedy miejsce zostaje wyświęconym Adalbert, zakonnik św. Maxymina, za sprawą Willihelma, arcybiskupa Mogunckiego, a opatrzony przez cesarza na drogę we wszelkie potrzebne przybory, wyrusza na Ruś, niosąc światło wiary i co za tem iść miało, niemieckiéj potęgi sławę i wpływy. — Atoli niedługo trwała ta apostolska praca, bo już następnego roku (962) wrócił Adalbert ledwo życie unosząc, straciwszy kilku towarzyszów w pogoni.

Niedziw, że rocznikarz niemiecki, wedle któregośmy rzecz tę opowiedzieli,[1]) prawi z oburzeniem o Helenie, że „pozornie“ tylko była ochrzconą, i że inni znowu kronikarze[2]) prawią o posłach, że „wszystko skłamali“ cesarzowi, boć doprawdy było się o co pogniewać, gdy tyle złotych na przyszłość widoków i planów spełzło na niczem.

[1]) Lelewel: Polska Wiek. Średn. T. IV. p. 508.

[1]) Continuator Regin. ed. Pertz pag. 624—8. a. a. 959—962.
[2]) Annal. Hildesheim. a. a. 959, Cosmas Prag. Scriptor. rer. bohem. I. 45.

Pod jednym dachem.

Powieść

przez

Wołodego Skibę.

(Ciąg dalszy.)

V.

Doktór Tucki robi djagnozę piegów nowego lokatora.

Po odejściu gospodarza Pilski zapalił cygaro, i usiadłszy na sofce wyrecytował monolog, w którym dużo było niechętnego i kwaśny humor objawiającego mruczenia, ale od czasu do czasu zapląsywał mu się na twarz uśmiech, nietyle wesoły, jak ironiczny.

— Widać, że to i w wielkich miastach, — mówił, — trafiają się przynajmniéj domy, jeżeli nie dzielnice całe, w których się żyje, jak w małem miasteczku. Ledwiem się tu wprowadził, wszyscy zainteresowali się mną tak, że gdybym był sobie zasuwki nie sprawił, nie miałbym jednéj sekundy spokoju. Tak samo było przez pierwsze dni kilkanaście po sprowadzeniu się do Ropczyc, tak samo późniéj, gdym się przeniósł do Kęt. Ta Babia wyspa oczywiste małe miasteczko... możnaby ją żywcem ztąd wykroić i przenieść gdzie w Galicją, a nie brakowałoby niczego... Całe to opiekowanie się mną skończyć się musi, jak się trochę więcéj oswoją z moją twarzą, tak jak skończyło się kiedyś w Ropczycach i w Kętach. Pomieszkam kilka tygodni, i uważać mnie zaczną za miejscowego. Tymczasem, nim się zaaklimatyzuję, trzeba niejedno przecierpieć... Niech sobie gadają o mnie, co chcą, niech mnie biorą, za kogo im się podoba, niech utrzymują, żem się zakochał w jakiéjś Izie, niech na mnie patrzą jak na dziwo, tak jak ten doktór przy pierwszem spotkaniu, niech im się zdaje, żem znakomity archeolog... co mi do tego? Nie ja wprowadzałem ich w błąd, nie do mnie należy otwierać im oczy, że się mylą. Śmiać mi się tylko z nich wolno i basta; za wszystkie nieprzyjemności, jakich ztąd doznaję, tyle mojego, co z nich w myśli naszydzę. —

Zaczął się namyślać nad oddaniem wizyty gospodarzowi. Namysł ten trwał niedługo. Pilski widocznie był człowiekiem, nielubiącym naruszać form przyzwoitości.

— Był u mnie, wypada pójść do niego... więc pójdę.

Przychodziło mu wprawdzie na myśl, że wchodząc do domu pana Sebastjana, nie powinien go pozostawiać w błędzie co do mniemanego swego stanowiska w uczonym świecie, ale prędko ten skrupuł przezwyciężył.

— Czyż to moja rzecz tłomaczyć mu się i eksplikować, — rzekł do siebie, — a przytem na cóżby się to zdało?... Stary oczywiście zdziecinniał... wbiła mu się w głowę bajka o smoku i o siarce, bredzi o niéj niestworzone rzeczy, myśli, że jest archeologiem... i każdego, kto mu się nawinie i kto go chce słuchać, bierze również za archeologa. Nie miałbym sumienia, gdybym go wyprowadzał z téj podwojnéj iluzji, która mi w końcu nic nie szkodzi.

Postanowił zatem nie zaprzeczać i nadal swego archeologicznego powołania.

Gdy się tak namyślał nad rewizytowaniem pana Rękalskiego i gdy jesze nie oznaczył dnia tych odwiedzin, wszedł do niego doktór Tucki.

— Otóż masz!... drugi!... — pomyślał Pilski, spostrzegając go we drzwiach, — ciekawym za kogo ten mnie bierze... Do licha! jeśli tak daléj pójdzie, to ja tu będę musiał wszystkich po kolei wizytować i od wszystkich odbierać wizyty.

Doktór, jak już wiemy, był dla nowego sąsiada nadzwyczaj grzecznym. Widocznie bardzo pragnął z nim się zaznajomić, a jeszcze bardziéj chodziło mu o to, żeby go nie urazić czemkolwiek. Ważył słowa, któremi doń przemawiał, i wszystko co mówił, mówił z rozmysłem, dobierając i wyrazów i głosu takiego, żeby go najdrażliwszy nawet człowiek o niedelikatność nie mógł posądzić. Plebejusz w salonie jaśniewielmożnego, przybyły z prośbą, od któréj przyjęcia karjera i przyszłość jego zależeć może, nie jest więcéj uważnym na swoje słowa, jak był zacny Eskulap z człowiekiem, któremu za oczy dał „ciekawego egzemplarza" przezwisko. W téj ogięgdności, w tem postępowaniu jak z jajkiem, był widocznie jakiś cel ukryty, i owo przezwisko nie mogło być bez związku z tem zbliżaniem się ostrożnem do złośliwie przezwanéj osoby. Tak zapalony bibljoman ze czcią i poszanowaniem przewraca karty staréj, rzadkiéj księgi, co za nieostrożnem dotknięciem w proch się rozsypać gotowa.

— Panie sąsiedzie, — mówił doktór, — proszę być ze mną bez najmniejszéj ceremonji, i odpowiedzieć mi otwarcie na dwa pytania.

— Słucham pana, panie konsyljarzu...

— Czy pan lubisz wizyty w ogóle, a w szczególności, czy moja dzisiejsza nie przeszkadza panu w czemkolwiek?...

— Bywają wizyty takie i inne, — odpowiedział Pilski, — pan, panie konsyljarzu sam to wiesz najlepiéj, że nie każdych odwiedzin pragnąć można, choćby się było największym zwolennikiem towarzyskiego życia. Ale co do pańskiéj wizyty...

— Śmiało, szczerze i otwarcie, panie sąsiedzie, — zachęcił doktór.

— A więc szczerze i otwarcie wyznaję, że dotąd przynajmniéj sąsiedztwo z panem i stosunek, mógł dla mnie tylko być przyjemnym...

— Podaj mi pan rękę na dowód.

Pilski podał, doktór ujął ją obydwiema, uścisnął serdecznie i dłużéj nieco zatrzymał w swych dłoniach. Pilskiemu się wydało, że Eskulap ostrożnie i tajemniczo chce puls jego wybadać, i zrobił giest, jakby chciał usunąć rękę, a oko jego pogodne przyćmiła mała chmurka niezadowolenia.

Doktór puścił dłoń i roześmiał się. Pilski spojrzał na niego pytająco.

— Śmieję się z siebie, panie... i z nas doktorów w ogólności, rzekł Eskulap rozumiejący doskonale to zapytanie.

— Nie pojmuję pana, — rzekł Pilski.

— My doktorzy, długoletnią praktyką przyzwyczajeni, nie możemy się pozbyć jednéj śmiesznéj wady...

— Jakiéjże to?...

— Gdy nam kto poda rękę, mimowolnie szukamy pulsu... Racz mi wybaczyć, panie sąsiedzie, że i ja skutkiem zastarzałego nałogu, w ten sposób wziąłem się do pańskiéj ręki. .

— I jakże pan znalazłeś mój puls?...

— Bije najnormalniéj w świecie...

— Spodziewam się... jestem zdrów jak ryba...

Doktór milczał.

— Nieprawdaż, panie doktorze, jestem zdrów zupełnie?...

— Jako lekarz nie mogę jemu odpowiedzieć na to pytanie, — odpowiedział Tucki, — my doktorzy nie sądzimy nigdy z jednéj wskazówki, potrzeba nam ich więcéj koniecznie... nie po doktorsku jednak, ale po ludzku sądząc, można panu zdrowia zazdrościć.

— Spodziewam się... nic mi nie dolega... nie chorowałem nigdy... jestem najmocniéj przekonany, że i sąd doktorski powiedziałby toż samo.

— Zapewne... chociaż niekiedy bywa inaczéj... — rzekł niby obojętnie doktór, — w każdym razie nie przyszedłem tutaj, ażeby pana dobrodzieja nudzić medycyną...

— Panie konsyljarzu, — przerwał Pilski, widząc, że doktór chce zagadać i na inny jakiś przedmiot zwrócić rozmowę, — zdaje mi się, że mnie pan posądzasz o jakąś wielką chorobę...

— O wielką chorobę, — uśmiechnął się doktór,— a! brońże Boże!... nie miałem nawet najdalszéj myśli... Mówiłem tylko ogólnie, że pozory zdrowia łudzą bardzo często profanów, lekarzom jednak bez bliższego zbadania osoby polegać na nich niewolno, choćby były najbardziéj w oczy bijące...

— Nie, nie... próżno mi się wypierasz, panie konsyljarzu, daremnie... zdaje się panu, że mam w sobie jakiś zaród choroby, może nieuleczonéj, może strasznéj... gdyby nie to, że mnie nie chcesz przerażać, jużbyś tu zwołał felczerów i upuścił mi czwartą część krwi, sprowadziłbyś pół apteki medykamentów w proszkach, pigułkach i miksturach, kazałbyś mi żyć dozami tych leków i kleikiem, a potem gdy kuracja w ciągu dni kilku naprawdę powaliłaby mnie na łóżko, powiadałbyś z tryumfem: „A co, panie Pilski, czy nie mówiłem, czy nie spostrzegłem odrazu, że nosisz w sobie zaród najniebezpieczniejszéj z chorób?"...

Złośliwéj téj satyry na lekarzy doktór Tucki wysłuchał najspokojniéj, uśmiechając się.

— Nieprawdaż, że się tak zdarza u was niekiedy, szanowni uczniowie Hippokrata?... — śmiał się Pilski, — Między nami... w cztery oczy... ja nikomu nie powtórzę... możesz się przyznać, konsyljarzu.

Gość nic nie odpowiadał. Potwierdzić takiego oskarżenia zawodu, który obrał i w którym z poświęceniem i zamiłowaniem pracował, nie miał odwagi, obawiał się zaś zaprzeczeniem i polemiką urazić człowieka, z którym sobie najostrożniéj postępować zamierzył.

Pilski uważając to za zupełne zwycięztwo, postanowił sobie trochę jeszcze pożartować z doktora.

— Milczysz, panie doktorze, więc mógłbym powiedzieć, że mi przyznajesz słuszność, — rzekł po niejakiéj chwili, — ale nie chcę pokonywać pana w taki zużyty sposób. Chcę, żebyś się pan sam przekonał, że cię twoje podejrzenia myliły. Oto mój puls, pomacaj go raz jesze, wyanskultuj mnie jak ci się podoba, panie konsyljarzu, i wyznaj z upokorzeniem, że o zdrowszego fizycznie człowieka nademnie trudno...

Doktór aż podskoczył na krześle.

— Pozwalasz się pan wyanskultować, opatrzeć, opukać.. — zawołał.

— Pozwalam...

— I nie weźmiesz mi pan za złe, gdy z tego pozwolenia z całą niedyskrecją skorzystam?...

— Nie wezmę za złe, ale pod jednym warunkiem.

— Pod jakim?...

— Że mi pan konsyljarz powiesz otwarcie, jaki będzie rezultat twego badania...

— Powiem...

— I nie weźmiesz mi za złe, gdy z całą niedyskrecją śmiać się będę z choroby, którą we mnie wmawiać zechcesz.

— O! tego możesz pan być pewnym... a więc do dzieła!...

Doktór wstał z krzesła, wydobył z kieszeni lupę, i zaczął przez nią przypatrywać się twarzy Pilskiego.

— Szczególna anskultacja, —uśmiechnął się improwizowany pacjent.

— Bo też i szczególne zjawisko, — odrzekł doktór, — pan dobrodziéj masz... piegi.

— Ba! wiedziałem o tem oddawna... myślałem jednak, że medycyna odstąpiła już dawno szarlatanom, fabrykującym kosmetyki, troskę o te plamki, pstrzące

oblicza ludzkie, niemile może dla oka, ale obojętnie... zwłaszcza u mężczyzn. W każdym razie, panie konsyljarzu, to i bez lupy widzieć było można...

— Zapewne, lecz to piegi nie takie, jak inne...

— Czasami, goląc się, przeglądam się w zwierciadle i różnicy żadnéj nie widzę... chyba że są drobniejsze i mniéj szpecą, jak zwykłe.

— Tak jest... to właśnie... teraz opukamy prawy bok.

Pilski pozwolił. Doktór pukał, słuchał, znowu pukał i znów się przysłuchiwał.

— Nie pojmuję was, moi panowie Eskulapowie dzisiejsi, — rzekł improwizowany pacjent, po niejakiéj chwili. — Jedyną rzeczą, którą tam usłyszeć można, jest, mojem zdaniem, bieda serca, ale jeżeli chcesz go się nasłuchać, to panie konsyljarzu, nie z téj strony droga, na lewo... na lewo... chyba, żeście rzeczywiście za czasów Moljera serce na prawy bok przenieśli.

Eskulap nic nie odpowiadał na te drwinki, widocznie anskultacja bardzo go zajmowała.

Ukończywszy pukanie, rzekł poważnie:

— Skończyłem.

— Już? — zawołał zdziwiony Pilski, — a to dziwne... a język przecież?...

Doktór machnął ręką i rzekł:

— Stara szkoła!... nowsza medycyna uznała, że język jest największym kłamcą w organizmie ludzkim...

— Ha! to późno uznała prawdę, o któréj od wieków i bez medycyny wiedziano, — śmiał się Pilski, — ręka zadrży, oko nie zdradzi, lecz język ile razy zechce, to skłamie... Mniejsza nam jednak o to... cóż ze mnie wybadałeś doktorze?... Czy mam jeszcze ze dwadzieścia cztery godzin do życia?...

Eskulap się nie śmiał bynajmniéj, twarz jego była tak poważna, że się zdawała prawie uroczystą.

— Panie Pilski, — rzekł, czy pan wierzysz, że pana nie znałem dawniéj?..

— Tem chętniéj wierzę, że pan ciągle mieszkasz w Krakowie, a ja tutaj jestem przybyszem...

— Czy pan pamiętasz poprzednią rozmowę, jaką mieliśmy ze sobą tutaj w ogródku?...

— Pamiętam najdokładniéj.

— Czyś pan pewny, żeś w téj rozmowie, ani w naszéj dzisiejszéj nie okazał się bynajmniéj zgryźliwym, hipokondrykiem, człowiekiem smutnego i zniechęconego usposobienia, że owszem byłeś ze mną wesół, uprzejmy, towarzyski, dowcipny, a jeżeli w tym dowcipie złośliwy trochę, to bynajmniéj nie w sposób zdolny obrazić, rozgniewać albo rozdrażnić?...

— Starałem się takim być i sądzę, że takim byłem.

— To prawda, — mówił daléj doktór, — to wszystko prawda... Gdybym pana sądził tylko z rozmowy, gdybyś mi się nie był pozwolił wyanskultować, miałbym cię za jednego z najprzyjemniejszych pacjentów, jakich w méj praktyce spotkałem. A przecież...

Tu lekarz przerwał sobie na chwilę.

— A przecież? — zagadnął go Pilski.

— Przyrzekłeś pan, że mi za złe nie weźmiesz tego, co powiem?.... Czy pan ponawiasz to przyrzeczenie?...

Pilski potwierdził skinieniem głowy.

— A więc, przyznam się panu, że od pierwszego zobaczenia pana, gdy cię jeszcze nie znałem i nie domyślałem się, kto jesteś, poznałem, że to wszystko jest złudzeniem. Towarzyski, uprzejmy, miły, względem nieco dalszych znajomych, jesteś pan dla ludzi, z którymi cię bliższe łączą stosunki, opryskliwy, nudny.... nieznośny...

Pilski namarszczył się.

— Panie doktorze, — rzekł z tłumionym gniewem, — gdyby nawet tak było, nie jestto choroba, lecz charakter, a tylko choroby należą do medycyny, tylko o chorobach powiedzieć może anskultacja, jaką zrobiłeś. Przekonałeś się pan, żem zdrów fizycznie, choć mnie posądzałeś o chorobę, wstyd ci to wyznać, więc chcesz we mnie wmówić jakąś chorobę moralną... ale tu podobno nie o to chodziło, panie konsyljarzu Tucki.

Uraza była widoczną. Dla Tuckiego jednak stanowiła ona nowy dowód prawdziwości jego spostrzeżeń, więc się nią nie zadziwił, ani też nie przejął wcale.

— Choroba... charakter... — powtórzył kiwając głową, — wiecież wy profani dobrze, co jest charakterem, co chorobą?... możecież przysiądz, że często jednego nie bierzecie za drugie?...

Zapytanie było głębokie, — Pilski zamyślił się.

(Ciąg dalszy nastąpi).

Na jeziorze Garda.

Pełno łodzi płynie po jeziorze Garda,
Wszystkie strojne w kwiaty, w lamp tysiączne blaski;
Słychać szum jeziora i tęskną pieśń barda,
I śmiechy naprzemian i huczne oklaski.

Księżyc srebrną szatę na świat szczęścia rzuca —
Gwiazdy z nieb spadają na kobiece łona —
A do róż i kobiet słowik pieśń donuca —
A ta pieśń rozkosznie w ciepłéj nocy kona....

U nóg każdéj Włoszki, Włoch szalony klęczy
I w jéj oczy patrzy i jéj kibić ściska —
Ona go białemi ramionami wieńczy
I z czarnego oka pioruny nań ciska....

I tak wśród księżyca i wśród gwiazd promieni
Jedna łódź — łódź drugą wita i wymija,
Improwizatorzy młodzi, więc natchnieni,
Powtarzają czule pieśń: „Santa Lucia!“

* * *

Dźwięk gitary rzewny z szumem fal złączony,
Jakieś dziwnie tęskne w sercu sny rozściela,
Zbudza w duszy Włocha wieszcze natchnień tony
I płomienne zmysły blaskiem uaniela.

Jak pierś młodéj dziewy, drży jezioro Garda....
Wszystko żyje, kocha, śpiewa i szaleje....
Nawet gór powierzchnia marmurowa, twarda,
Echem rozpowiada zakochanych dzieje....

Tylko jedna czarna łódka na jeziorze —
Jéj nie wieńczą kwiaty, ani lamp pierścienie —
Na niéj zamiast pieśni — grobowe milczenie,
Więc płynie wśród żywych, jak zmarłego łoże....

A przecież wśród blasku srebrnego księżyca
Na czarnéj téj łodzi dwie widno postacie —
I poznasz po cieniu, po ruchu, po szacie
Że jeden młodzieniec, a druga dziewica.

A kiedy w około się suną gondole
I blaski w łódź padną z jasnego ich wieńca,
To poznasz zadumę na bladem jéj czole,
I rysy złamane rozpoznasz młodzieńca...

Lecz czemuż, choć młodzi, bez światła i kwiatów —
Bez pieśni, samotna ich łódź się przesuwa?
Czy dość ma promieni pierś pełna bławatów?
Czy samo ich serce im wieńce osnuwa?

Czy może, zazdrośni, chcą ukryć przed zgrają
Namiętne pieszczoty? gorące spojrzenia?
Czyż może ich tętna zbyt głośno im grają
Nokturny miłosne i hymny marzenia?

Lecz czemuż żałobą gondola okryta?
Lecz czemuż żałobne ich szaty i lica?
Któż ona? i on kto? ciekawy tłum pyta...
— To obcy młodzieniec i Włoszka — dziewica!

Dziwaczna historja, choć bardzo niedługa:
Dwie siostry kochały jednego nie-Włocha —
Dziś młodsza umarła z zazdrości — a druga
Tam przy nim na łodzi... on biednéj nie kocha!...

Tak śpiewa gondolier na lago di Garda —
Gondole się suną ze śpiewy i blaski —
Jeziora szum słychać i słychać pieśń barda —
I śmiechy naprzemian i huczne oklaski.

Lecz nagle od strony, gdzie czarna łódź stała,
Krzyk straszny, plusk fali się rozległ po wodzie...
I śpiewy ucichły i zbiegły się łodzie —
Na falach nieżywa kobieta się chwiała!...

Wśród lamp i wśród blasku srebrnego księżyca
Te same znów widno żałobne postacie...
I poznasz po cieniu, po ruchu, po szacie,
Że w łodzi młodzieniec a w falach dziewica...

* * *

I znowu śpiew ożył, jak siłą zaklęcia —
I jedna łódź drugą radośnie wymija —
Nad trupem topielca — nad grobem dziewczęcia
Śpiewają poeci pieśń: Santa Lucia!

1863 r.

Henryk Merzbach.

KRONIKA TYGODNIOWA.

Wiosna — to pora najmilsza dla kochanków i poetów. I rzecz to wielce naturalna — boć przy dwudziestu stopniach mrozu trudno, aby pierś gorzała ogniem uczucia, a trudniéj jeszcze uczucia te przelać w zgrabnych rymach na papier. Lecz natomiast za nadejściem wiosny otwierają się zwykle upusty miłosnych zapałów i poetycznego natchnienia — młodzi pieśniarze płodzą obficie — i na łonie natury, zwykle na zielonym traw kobiercu — pod sklepieniem z błękitu — wygłaszają pierwociny swego talentu. Pierwszy ten perjod trwa jednak niedługo — miłość macierzyńska nie dozwala trzymać w ukryciu wykołysanych w lubych marzeniach dzieci ducha: a więc najprzód rodzina poety, potem bliższi i dalsi znajomi, słuchają z wielkiem nabożeństwem jego utworów. Obsypany pochwałami, ulegając ogólnemu żądaniu, przesyła autor swe próbki do jednego z pism perjodycznych — i z biciem serca czeka na odpowiedź. Niektóre redakcje trzymają się co do wierszy téj zasady, że dobre umieszczają, a nie nadające się do druku bez żadnego uwiadomienia rzucają do kosza — a tak nasz rymopis czy poeta, przecierpiawszy męki Tantala, albo zupełnie się zrzeka nieśmiertelności, albo też jeśli wytrwalszy, gdzieindziéj probuje szczęścia. Inne pisma albo ogólnie donoszą, że te a te wiersze drukowane nie będą, podając niekiedy powody i wytykając usterki — lub też odpowiadają niedoszłym poetom w ten mniéj więcéj sposób:

„Trzeba się uczyć, uczyć — i jeszcze raz uczyć — trzeba poznać zasady gramatyki i składni, a potém brać się do próbowania sił własnych — zawcześnie jeszcze — zawcześnie i t. p.“ —

Na pochwałę początkujących kandydatów do Parnasu przyznać trzeba, że ogólnie są dość skromni — zdarzają się wszakże między nimi indywidua niepomiernéj zarozumiałości. Za dowód niech posłuży, że jeden z interesowanych „przyznaje wprawdzie chętnie, że poezje jego nie doszły jeszcze szczytu (sic) doskonałości — ale —“ i t. d., a więc za kilka już może miesięcy będziem mieli genjusz poetyczny. Czekajmy — qui vivra, verra! —

* * *

Rychter przyjechał! Wiadomość ta napełniła serdeczną radością wszystkich miłośników narodowego teatru. I w rzeczy saméj jest z czego się cieszyć... Rychter byłby świetnym nabytkiem dla każdéj sceny, a cóż dopiero dla tak ubogiéj, jak nasza. Cóż — kiedy podobno przybył tylko na kilka gościnnych występów. Dziś (18 b. m.) gość nasz wystąpi w Przysłudze i Trefnisiu — w przyszłą sobotę w roli Szyloka z Kupca Weneckiego. Wiemy również, że na benefis swój przygotowuje p. Rychter miłą dla publiczności niespodziankę...

Sprawa budowy teatru żwawym postępuje krokiem. Jak się dowiadujemy z pewnego źródła, rozprzedano już dwie trzecie akcji. Spodziewać się więc należy, że niezadługo lary nasze i penaty przeniesiemy pod dach własny. Wkrótce też powrócą zapewne z pielgrzymki narodowéj kolektorzy teatralni, z obfitym dla sprawy publicznéj plonem.

* * *

Zdaje się, że ruch piśmienniczy, zatamowany długą wojną, tem silniéj się teraz rozwinie. Po książkach nieostatnie miejsce zajmują tu kompozycje muzyczne. Nakładem księgarni J. K. Żupańskiego wyszły trzy pieśni do śpiewu z towarzyszeniem fortepjanu Michała Hertza: 1) Zaklęcie — Żmichowskiéj. 2) Tęsknota — téjże. 3) Kapryśna — Wł. Bełzy. Kompozycje te odznaczają się, jak i poprzednie, oryginalnością melodji, zgrabnością formy, niezwykłą harmonją, a nadewszystko uczuciem i rzewnością.

Cieszy nas, że p. Hertz pracuje na tem polu, na którem czuć się daje tak wielki brak nowych pomysłów, a jesteśmy przekonani, że mnogie jego utwory, będące jeszcze pod prasą, zjednają mu imię jednego z pierwszych naszych pieśniarzy.

Zaklęcie z *F*-dur-tem bardziéj nas interesuje, że będąc już skomponowane przez wielu innych kompozytorów i przez samego p. Hertza (wyszło nakładem Tygodnika Wielkopolskiego) — mimo to zachowało wdzięk świeżości. Jestto nie małą zaletą kompozytora, że skomponowawszy dwa razy tęższamą pieśń, rozwinął myśli zupełnie odrębne, jak gdyby dwa duchy z jednéj piersi wydobyły różne dźwięki!

* * *

Francuzi odjeżdżają!... Za kilka już może dni pożegnamy tych nieszczęśliwych, którym los nie szczędził nawet hańby niewoli. Ileż to chwil gorzkich spędziliśmy razem!... Razem — mówimy — bośmy mieli odwagę wypowiedzieć otwarcie nasze sympatje dla Francji, i boleć wspólnie nad jéj niedolą... Nic tak silnie nie wiąże ludzi, jak wspólne nieszczęście, nic tak nie przyciąga, jak kolej jednéj drogi. A właśnie po drodze, na którą weszła Francja, my już od stu lat kroczymy. Nie życzymy siostrze naszéj nadal téj Dantejskiéj wędrówki — może losy dla niéj będą łaskawsze — w każdym jednak razie uczucia nasze dla Francji pozostaną niezmienne.

* * *

Wieczorki literackie, rzecz zupełnie nowa w Poznaniu, niezmiernie ożywiły nasze miasteczko. W kilku domach w pewne dni tygodnia, zgromadza się grono młodzieży obojéj płci, poważne matrony i poważniejsi jeszcze ojcowie i... bawią się wszyscy wybornie. Muzyka, deklamacje, śpiew, przyczyniają się znacznie do ożywienia wieczorku. Daléj na wzór Warszawy, zręczniejsi układają szarady z żywych osób — rzucają pytania, na które otrzymują odpowiedzi okraszone zwykle humorem i t. d. Tak więc bez tańców i hałaśliwych zabaw, któreby dzisiaj były anachronizmem, wesoło i nie bez umysłowéj korzyści spędza się kilka godzin czasu. W ostatnich tygodniach prócz osób miejscowych i pana Rychtera, uprzyjemniał wieczory jeden z jeńców francuzkich prześliczną, prawdziwie artystyczną grą na flecie. Daj Boże. ażeby te umysłowe rozrywki dały początek szerszemu rozbudzeniu się towarzyskiego życia w Poznaniu! —

PRZEGLĄD TEATRALNY.

Z nietajoną przyjemnością ujiszczam się dzisiaj z mego cenzorskiego obowiązku. Od czasu ostatniego przeglądu widzieliśmy na deskach poznańskich trzy przedstawienia, których dyrekcyji i artystom możemy powinszować. — Mam na myśli Kalderonowego Lékarza swego honoru, Korzeniowskiego Mnicha i Sierotę z Lowood pani Birch Pfeiffer.

Widocznie beneficyjanci nasi wchodzą na lepszą drogę i zaczynają uznawać, że nie szkandaliki kankanowe, lecz jedynie sztuki klasyczne, a przynajmniéj dobre, zdolne są publiczność wielkopolską pociągnąć do żywszego zajęcia się sceną. Równocześnie dyrekcyja ubytek sił materyjalnych stara się zastąpić staranniejszym wyborem i akuratniejszym wykonaniem. Dziękujemy za to i jednym i drugiéj. Ale wróćmy do rzeczy.

„Lékarz swojego honoru“ teraz po raz piérwszy od lat wielu przedstawił się publiczności poznańskiéj. Jestto tragiedyja, którą grać, a głównie wydekorować nie łatwo, i dla tego wyznajemy, żeśmy się s początku dziwili odwadze panów Dobrzańskiego i Zboińskiego, kiedyśmy się o jich wyborze dowiedzieli. Dziś, po skończonym przedstawieniu, oddajemy jim winne, szczere uznanie i podziękowanie za ten wieczór pięknéj ułudy, wieczór spędzony jistotnie jakby pod kastylskim niebem, wśród gwiaździstéj, czarującéj nocy południa, wśród blasku i przepychu pałaców sewilskich, przy brzęku gitary i złocistych muszek, wśród szmeru strumyków i wodotrysków, tchnących nieznanym na północy życiem i upojeniem, tchnących miłością, pychą, nieco i zemstą, o jakich my „grube Sarmaty“ nie mamy wyobrażenia. Dodajmy do tego silny, czysty, giętki a dosadny język, tak właściwy przekładom I. N. Kamińskiego, a przyznamy, że wieczór 18go Lutego był dla widzów biesiadą królewską, któréj okruchy składam na talerzu Tygodnika dla tych Czytelników, co nie byli jéj uczestnikami.

Kalderon, dobrze Francuzom, nie tyle Niemcom, a najmniéj Polakom znany, zasługuje na małą wzmiankę biograficzną.

Don Pedro Calderon de la Barca Henas y Rianno, potomek staréj szlacheckiéj rodziny, ujrzał po piérwszy raz światło iberyjskiego słońca w 1601 r. Autor Don Kiszota i Szekspir stali wtenczas na szczycie swéj sławy; Hiszpanija, podobnie jak Polska, niby magnat arystokrata, rozpierała się na złotym wezgłowiu potęgi i chwały, dyktowała cywilizowanemu światu prawa w wojnie, nauce, stroju, obyczaju, nie czując jeszcze gangreny, co za Filipów — Zygmuntów zaczynała toczyć jéj ciało. Kalderon, jak cały wiek ówczesny, chował się u Jezuitów. Okazywał tak wielkie zdolności, że już w 13tym roku życia poszedł na uniwersytet do Salamanki, gdzie uczył się wszystkiego, prócz teologiji. Tu, mając lat 14, napisał piérwszy dramat „El Carro de Cielo;“ w 18tym dostał się jako poeta na dwór królewski; w 24tym próbował Marsa na polach Lombardyji i Belgiji, jednak niebawem oręż stanowczo na pióro zamienił. Odtąd pisał i pisał, jak Kraszewski drugi, tylko z większym od naszego pisarza powodzeniem, bo się podobał nietylko ludowi, ale królom, a nawet i Jezuitom. Pozostało po nim około 500 utworów, między tymi ze 120 komedyji, 100 dramatów kościelnych (na mękę Pańską, na Boże Ciało itp.). Ostatnie układał głównie po roku 50tym życia, w którym wstąpił do stanu duchownego. Nie zmniejszyło to jego wpływu, owszem go podniosło. Dwór madrycki przedstawiał wszystkie płody jego fantazyji z niesłychanym przepychem; wszystkie miasta bogatéj Hiszpaniji słały do niego swe złoto s prośbą o nowe komedyje, o nowe Autos Sacramentales. Był czynnym do ostatniéj godziny swego długiego żywota, do 80 roku życia († d. 25 Maja 1681).

Rozgłos jego jimienia był wielki, ale podczas gdy cała literatura francuzka s czasów Ludwika XIV nosi na sobie widoczne piętno naśladownictwa Hiszpanów, Polska s powodu materyjalnéj różnicy dialektu, a głównie s powodu swego klimatu i rychłych zaburzeń, nie korzystała s tych skarbów wcale, i dopiéro ostatniemi czasy na scenach naszych pokazały się „Lékarz swego honoru“ i „Książę niezłomny.“

Głównym piętnem tego Kalderonowego „Lékarza“ jest demoniczna zazdrość, połączona z jakimś fatalizmem, któremu podobnego chyba w Słowackiego Mazeppie szukaćby można. Jeden z mojich niedalekich sąsiadów, lubiący często jeszcze wśród przedstawienia objawiać swe sądy ad usum otoczenia, nie wiedząc biedaczek, w jakiéj Kalderon żył epoce, z lekceważeniem taki dał wyrok o Lékarzu: „trochę Szekspira, więcéj Bajrona i otóż wszystko.“

Uspakajam czytelnika zapewnieniem, że Kalderon po hiszpańsku nie umiał, że Szekspir w owym czasie tylko w Angliji był znanym, że pism kacerskiego poety nie byłby nikt do Hiszpaniji wpuścił, że dumny dworzanin Filipów byłby sobie miał za ujmę, brać wzory s kogokolwiek jinnego, jak z własnych narodowych poprzedników, że wreszcie gienijusz Kalderona naśladować nie potrzebował, i sam na wieczne czasy pozostanie wzorem dla każdego, kto w dramatach swych użyć zechce postaci od-

znaczających się wzniosłością charakteru, głębokością myśli, ambicyją, przepychem, dwornością i grzecznością rycerską.

Treść „Lékarza“ wziął Kalderon z wieków średnich swego kraju. Za czasów Don Pedra, groźnego tyrana Kastyliji, żyje Donna Mencyja de Acunia, dziewica tak słynna s piękności, że nawet brat królewski, infant don Enrico, nie waha się stanąć w kole jéj wielbicieli, i szczęśliwy obudza w jéj sercu wzajemność nieudaną. Dość długie rozłączenie sprawia, że Mencyją wydają za niejakiego Don Gutyere Alfonso Solis, piérwszego granda Kastyliji, młodzieńca wysokich zdolności, szlachetnéj duszy, Hiszpana nad Hiszpanami, ceniącego honor wyżéj jak życie.

Przypadek zdarza, że kiedy Don Gutyere jest w Sewilli, infant przejeżdża s towarzyszami około jego zamku, i tak nieszczęśliwie s konia spada, że pozbawionego zmysłów trzeba go odnieść i złożyć przed oknami utraconéj kochanki. Spotkanie to staje się dla ostatniéj zgubą. Zapalony infant nie uważa na nic, jak tylko na swoje uczucia; młoda małżonka zaczyna walczyć z dzisiejszym obowiązkiem a wspomnieniami chwil szczęścia. Tymczasem wraca mąż i widzi pomięszanie obojga. Nierozważne słowa infanta, który nawet w jego obecności czyni kochance nie dość dobrze wyobrażowane wyrzuty zdrady, obrona żony, jéj drżenie i gra rysów, wywołana przeczuciem złowieszczym, rzucają w serce Gutyera piérwsze ziarna nieufności. Nieufność ta przechodzi niebawem w uzasadnione podejrzenie. Kiedy małżonek, wyjechawszy na dwór królewski, dostał się tam do więzienia za dobycie broni w przytomności króla, tym czasem infant, korzystając z jego nieobecności, wkrada się nocą do ogrodu, gdzie zastaje Mancyją, oddaną rozstrojonym marzeniom o miłości i śmierci. Po krótkiéj rozmowie przerażonéj małżonki z zapamiętałym kochankiem nagle rozlega się głos nadjeżdżającego Gutyera. Don Enrico chowa się do pałacu, i zręcznie przeprowadzony przez pokoje Mancyji, uchodzi. Ale niebaczny! w jéj sypialnéj komnacie upuścił swój sztylet, który nie uszedł podejrzliwego oka zazdrości. Odtąd nie ma już Gutyere najmniejszéj wątpliwości, że jest zdradzonym, i szuka już tylko uwodziciela. Przekonawszy się dostatecznie, kto jest właścicielem sztyletu, zanosi skargę do króla, a tymczasem gotuje zemstę wyrafinowaną. Żeby nie okryć się jimieniem mordercy, sprowadza lékarza i każe śpiącéj żonie wypuścić krew aż do skonania. Lecz czyn ten ukryć się długo nie może. Don Pedro dowiaduje się o wszystkim, i niespodzianie wchodzi na miejsce uczynku. Schwytany lékarz wydaje wszystkie okoliczności. Gutyere wié co go czeka; nie dość, że zamordował tę, którą kochał namiętnie, ale w końcu przekonuje się o jéj niewinności, i tego przeżyć nie może. Zabija się więc w oczach króla, a infant, przyczyna całego nieszczęścia — tu poznać pisarza dworaka — infant, za karę — zajmie się pogrzebem obojga.

Gra artystów była wyśmienitą. Pani Nowakowska oddała rolę Mancyji s taką skromnością, s takim wdziękiem, s takim przepelnieniem, była tak wolną od przesady, tak wolną od właściwych sobie zresztą a tak źle często udanych łez i wzruszenia, słowem tak żywo przejęła się rzeczą i tak dobrze instynktowo odgadła wdzięczną skądjinąd rolę Hiszpanki, że całą salę w ciągłym trzymała zachwyceniu.

Pan Dobrzański, który grając rolę Don Gutyera nie wiedział zapewne, że po raz ostatni przed nami występuje, próbował swéj siły w roli tragicznéj po raz piérwszy i to z wielkim powodzeniem. Podobno są widoki, że znów wróci do Poznania. Gdyby tak być nie miało, to jeżeli te kartki dojdą jego ręki, niech się z nich dowié, że Poznańczycy serdecznie go żałują, i że mojim zdaniem, wyjazd jego zrobił w gronie artystów wyłom, chwilowo wcale nie dający się wypełnić.

Co do Gutyera, tyle jeszcze uwag w szczególności. Pan Dobrzański jest fizycznie nieco za słabym, plastycznie jeszcze nie dość mężem, by grać rolę starszych bohaterów. Pochylona nieco postawa jego nie wydaje się dobrze w scenach śmiałych i wyzywających, choć do intrygi wybornie się nadaje. Pan Dobrzański mówi daléj zwykle nieco przez zęby i z lekka przez nos intonuje; są to przymioty, które dadzą się wyzyskać w danym razie nawet w rolach tragicznych, lecz nie powinny przejść w drugą naturę. A zresztą łatwo się jich pozbyć za pomocą dobrego nauczyciela śpiewu i deklamacyji. Dłuższe monologi z roli Gutyera wypadły tą razą jeszcze nieco monotonnie, a niektóre ustępy, nacechowane z natury zimną refleksyją, często zbyt namiętnie z ust artysty wychodziły. Ruchy pana Dobrzańskiego były téż czasem niejasne, nie dość stanowcze, niekiedy nawet pożyczane s komedyji; ale wszystkie te małe usterki, razem wzięte, znikały nieomal w obec zalet, do których liczym przedewszystkim zapał południa, umiarkowanie granda, zrozumienie prawdziwe, deklamacyją poprawną, i to poczucie własnéj pewności, która jest niezbędnym warunkiem powodzenia.

Zakończę powinszowaniem p. Cezarowi jego gry w roli don Enrika. W salonowéj komedyji jeszcze nie dość i giętki i gładki, p. Cezar gra nieźle role idealne. Bohatyrowi tragiedyji, kochankowi wieków średnich, wolno być niekiedy sztywniejszym, bo tam zapał, dźwięk głosu, przejęcie się wewnętrzną stroną charakteru więcéj znaczą, jak posuwistość, lekkość i zręczność salonowa. To téż chętniéj p. Cezara widzim, w „Halszce“, „Lékarzu“ i „Mnichu“, jak w całym tuzinie małych komedyjek francuzkich. Rolę infanta, Don Enrika, odegrał pan Cezar najlepiéj ze wszystkich tych, w których mieliśmy sposobność widzenia go w Poznaniu. Niech więc nie traci otuchy, i będzie pewnym, że już zaczyna rozbrajać ten chłód, z jakim go w początkach witano, i że całkiem podobać się będzie, skoro tylko lepiéj się u nas zaaklimatyzuje, gdy zatrze do reszty ślady intonacyji niemieckiéj i pozbędzie się lekkiego cienia nieufności, z jaką jeszcze niekiedy występować się zdaje na scenę.

Rozpisawszy się zbyt może długo o Kalderonie, o reszcie mniéj już dzisiaj powiémy. „Mnich“ Korzeniowskiego powinien był przejść przez nożyce reżyserskie, jeżeli chciano mu odjąć cechę rozwlekłości. Pojmujemy pobudki, dla których całość jego uszanowano; są one zrozumiałe dla ludzi zupełnie wykształconych, ale ci najmniéj liczni w teatrze, i lepszą mają illuzyją, gdy rzecz w książce saméj odczytają. Za błędy kompozycyji poczytujemy głównie: długie monologi Śreniawity, zbyt talmud przypominające, a na dziś nie stósowne słowa klątwy kościelnéj, i wprowadzenie św. Stanisława mówiącego, jak wszyscy śmiertelnicy, głosem ludzkim, pochodzącym s płuc, grdyki, zębów, warg, nosa itd. Jest to nieudolne naśladowanie Szekspira. Sceny takie popłacają tylko w oczach gminu; wykształceni nie mogą się zgodzić na to, by duch w taki ludzki właśnie sposób przemówił, będąc przecież wolnym od ciała, s którym dopiéro po zmartwychwstaniu się złączy. Naszym zdaniem, widziadła w ogóle tylko milcząc występować powinny. Dość, że się zjawią, ale mówić za nie powinien ten, któremu się pokazały. Jeżeli zaś Korzeniowski zasłania się Szekspirem, to go nie zrozumiał. Ojciec Hamleta tylko do Hamleta mówi, a do nikogo więcéj; tylko dla niego widzialny, ale nie widzą go ci, co syna jego otaczają. W tym tajemnica, w tym sztuka psychologa. Duch tak idealnie pojęty, może też być jeszcze płodem osobistéj fantazyji; pojęty zaś tak materyjalnie jak w „Mnichu“, może tylko gniewać lub śmieszyć. Św. Stanisław skinieniem winien był rozkazywać. Samemi giestami powinien przemawiać do duszy nawiedzonéj; ta zaś niech na zewnątrz maluje budzące się w niéj uczucia.

Przedstawienie samo powiodło się prawie zupełnie dobrze. Przyczynili się do tego nietylko p. Kaliciński, w dobrze bardzo wypracowanéj roli Bolesława, ale i p. Zboiński w roli Śreniawity, któremu tylkobyśmy to zarzucili, że mówił zbyt mocno i głosem nieco chropowatym, co jednakże zapewne na karb marcowego powietrza położyć należy.

W „Sierocie z Lowood" p. Joanna Górecka zasłużyła na ogólną pochwałę. Nie umiała ona wprawdzie w akcie drugim zachować należytéj równowagi między kobietą siebie bardzo pewną a nauczycielką, niezapominającą o należnych dla pana domu względach; mówiła ona niekiedy w tymże akcie z nadto widocznym tonem lekceważenia, którego nie wolno w takim stosunku przybierać, ale zato w aktach następnych nietylko że zatarła ślady tego niemiłego wrażenia, lecz co więcéj, uniosła widza po kilka razy tak silnie w krajinę fantazyji, że w zachwyceniu bylibyśmy już i przyklaskiwać zapomnieli, gdyby nie czujny parter, który ją po każdym prawie akcie po kilkakroć wywoływał. Rz.

Dwa sonety o Litwie

przez

Władysława Krenza*).

Sonet I.

Koń świętokradzką stopą depce po mogile!...
Jeździec z góry spogląda na lasy — na sioła.
Wszystko smutne — ponure — milczące dokoła —
Posmutniały mu lica — zadumał się chwilę.

Stał jak posąg z marmuru na granitu bryle,
A myśl szuka w przeszłości zuchwalego czoła, —
Któremu za mogiły zasiane dokoła,
Może wznieśli posągi — za klęsk i krwi tyle.

Ileż mogił usypią — ileż serc zakrwawią —
Ile łez ze żałosnéj wycisną źrenicy,
Zanim zimne mocarzom posągi postawią
W kamiennym, jak ich serce, pancerzu — przyłbicy.
Dziś rzeziami złobyta — gdzie wielkość — gdzie siła?
Sławę — wielkość mocarzów dziś kryje mogiła!

Sonet II.

Czemu Litwa tak smutna — tak cała w żałobie?
Nie ma listka na drzewie — ni kwiatka na łące —
Nawet jodły i świerki wiecznie zieleniące
Dziś smutniejsze — ponure, jak gdyby na grobie.

A i wieśniak, co dawniéj przyśpiewywał sobie
Przy zabawie, czy trudzie, — dziś serce tęskniące
On śpiewem nie pociesza — pragnienia gorące
Kryje w sercu głęboko — głęboko jak w grobie. —

Nie pytaj! szanuj smutek — powagę cmentarza!
Tak niedawno ustały konających drgania,
Że dziś oku najmilszą ta szata żałosna.
Litwa na grobach marzy, że i dla niéj wiosna,
Co przyrodę ożywia — tyle cudów stwarza —
Niezadługo zawita — wiosna zmartwychwstania.

*) Nieodżałowanéj pamięci Władysław Krenz, uczeń wydziału filozoficznego wrocławskiéj wszechnicy, w nieswojéj zmuszony walczyć sprawie, poległ pod Paryżem 21 Października zeszłego roku. Sonety powyższe przesłał on z Litwy, gdzie bawił czas niejaki, jednemu ze swych przyjaciół i kolegów, dla których był przedmiotem ogólnéj miłości. Posiadający te jego próby poetyczne, przesłał je Redakcji, chcąc uczcić pamięć wiele dla kraju rokującego młodzieńca.

O wolności politycznéj.

Krytyczne uwagi nad XI i XII księgą dzieła Montesquiego „Esprit des Lois."

Wykład publiczny w kwietniu 1868 r. w sali Tow. Nauk. Krakowskiego

przez

Dr. W. M. Olendzkiego.

Szanowni Słuchacze!

Przedmiotem dzisiejszego wykładu, będzie traktowanie kilku teorji politycznych, zawartych w powszechnie znanem dziele Montesquiego: „Esprit des Lois" Dzieło to zajmuje, tak ze względu na treść, jak i formę, w literaturze politycznéj bardzo znakomite miejsce, i liczy się dziś jeszcze do rzędu chętnie cytowanych powag, w swoim zaś czasie było bezwątpienia najwspanialszym utworem ducha, przygotowującego zasady nowego, świeżego życia. Montesquieu liczy się do tego rodzaju pisarzy, których pobieżnie traktować niepodobna, Destutt de Tracy wypełnił komentarzami nad nim całe rozległe dzieło; my też widząc niemożność objęcia w szczupłych ramkach jednego odczytu, przeglądu całości, wybraliśmy z niéj do dzisiejszego wykładu jedną tylko część, traktującą o prawach wolności politycznéj.

Przed przytoczeniem in extenso teorji Montesquiego i zapatrywaniem się na nią ze stanowiska dzisiejszéj nauki, niech nam wolno będzie zrobić kilka wstępnych uwag.

Wolność nie powstaje ani z ugody, ani z nadania, wolność nie jest dziełem jednéj partji, lecz owocem całéj summy wszechstronnych starań zorganizowanego w państwie społeczeństwa. Wolność jest częścią nierozłączną natury organicznéj państwa, społeczeństwa zatem, dopiero po dojściu do téj najwyższéj formy swego bytu, nazywającéj się państwem, prawdziwą wolnością cieszyć się może. Celem państwa nie jest oddanie się interesom partji, nad którą stoi, lecz pielęgnowanie i wspieranie wszech-interesów tak części składowych, jakoteż i całości; ponieważ zaś, jak wspomnieliśmy, państwo jest osobą organiczną, złożoną z osób, byt jego zatem i trwałość warunkuje się harmonią, jaka między interesami części między sobą i części z całością panować winna. Kontynualność téj harmonji, w prawidłowym przebiegu życia państwowego, jest właśnie tą wolnością, która dopiero wówczas urzeczywistnioną zostanie, kiedy zapanowanie państwa nad partjami towarzyskiemi i wyrobienie się partji politycznych warunki jéj bytu przygotują.

Nie myślimy tu bynajmniéj wdawać się w osądzenie, o ile w obecnéj chwili przybliżyliśmy się do jasnego rozpoznania prawd, leżących na dnie natury i zasad państwowego organizmu, to tylko wspomnieć musimy, iż całe bogactwo nagromadzonych zasobów ekonomicznych, iż wszelkie zdobycze cywilizacji, jakiemi się cieszymy, i jakie dzięki zorganizowaniu sił społecznych w państwie

nowoczesnem codziennie powiększamy, poprzedzone były tysiącem lat ciężkich klęsk i zawodów, których przyczyny powstały równocześnie z założeniem państw średniowiecznych na gruzach rzymskiéj monarchji. Pierwsze 4 wieki, od czasu jak najazd barbarzyńców ze wschodu zdruzgotał byt polityczny spruchniałego Rzymu, są wiekami tak wielkiéj ciemnoty, iż o porządnem organizowaniu się państwa, a zatem o wolności, żadnéj mowy być nie może. Od IX., szczególniéj zaś od XI wieku, kiedy duch ludzki z pod opieki klasztornéj wyłamywać się zaczął, a powstawanie systemów świeckich, mogło silnie przyczynić się do ugruntowania nowych podstaw życia politycznego, znajduje młodziuchne państwo, w dotychczasowym swym opiekunie, w najgwałtowniejszéj ówczesnych czasów potędze kościelnéj, nieubłaganego wroga.

Teorja wypowiedziana w fałszywych dekretaliach Izydora, w pseudo-klementyńskich listach i przywileju klasztoru S. Medarda w wieku IX., z początkiem XI. w. zaczyna przechodzić w praktykę.

Nie mając nad 300,000 zakapturzanéj lub boséj milicji, żadnych sił zbrojnych do czynnego poparcia, na dowolnie interpretowanych tekstach pisma świętego gruntowanych roszczeń, uciekać się musiał wojujący papież do klątw, interdyktów, rozwiązywania poddanych od przysięgi, i żywienia partykularnych, prawom zwierzchności przeciwnych zachcianek, luźnie tylko naówczas powiązanych prowincji, księztw i miast, o jakie to powiązanie w celu utworzenia jednolitego państwa przedewszystkiem naówczas chodziło.

Przy nieustannem wydzielaniu się jednostek z porządku ogólnego, przy niejakim wstręcie do organizacji państwowéj, jaki leżał w naturze ludów germańskich, i ascetyzmie wyrobionym przez chrześcianizm, walka ta cesarza z papieżem, wypełniająca treść praktycznéj polityki w wiekach średnich, zadająca codziennie społeczeństwu najboleśniejsze ciosy, dawała mu zarazem pewną nadzieję popadnięcia w srogą niewolę w chwili nawet, kiedy jedna ze skrajnych partji otrzymawszy zwycięztwo, żelaznemi rękoma chciwie za władzę uchwyci.

Z praktycznych tego rodzaju stosunków wywiązać się musiały podobne do nich teorje i zapatrywania się polityczne. Uważanie państwa za dzieło szatana, za złe nie dające się wykorzenić, od którego należy się chronić ucieczką do klasztoru, pogarda życiem doczesnem, oto artykuły ówczesnéj wiary politycznéj. Zaledwie w kilku utworach ducha, łamiącego wyjątkowo twardą łupinę ogólnie przyjętéj formy, jak n. p. w dziele: „de Monarchia“ Dantego, w mowach, ustawach i listach Fryderyka II. Hohenstaufa, w „Sachsenpiegel“ Eikego v. Repgow, w „Coutumes de Beauvoisis“ Beaumanoira, znajdujemy wyróżniające się świeżością i wyższym poglądem idee. Zresztą przedmiotem całéj literatury politycznéj i filozofji jest teorja o mieczu duchowym i doczesnym i argumentacja w formie scholastycznéj za lub przeciw tekstowi, wystawianemu przez papieży.

Gwelfy i Gibellini ukazują się nawet na polu naukowem. Od XV. wieku dopiero zawisła nad światem mgła, zwolna zaczyna się przecierać. Umocniony na studjach klasycznéj starożytności duch zaczyna powątpiewać, badać przyczyny wszech-rzeczy i objawy życia, a powstałe ztąd zasady rugują scholastykę i teobracją zarazem, robiąc miejsce nowemu porządkowi rzeczy, jaki w XVI. wieku nastaje.

Wiek XVI. wyradza zupełnie nowe spory. Na miejsce wzniosłéj, lecz zbyt wyłącznie panującéj chrześciańskiéj zasady obowiązku i miłości, która wszedłszy z jednostronności w sprzeczność, państwa ku swym celom za narzędzie użyć chciała, stawia wiek reformy zasadę prawa.

Ludzkość nie wytchnąwszy po kilkowiekowych walkach kościoła z państwem, zaczyna toczyć nowe boje w łonie samegoż państwa, między prawami ludów a panującym. Zasady ztąd powstałe, jakiemi wiek ten burzliwy genjalną swą oryginalność objawia, były jednakże, co słusznie wyznać możemy, raczéj głęboko przeczute, aniżeli zrozumiane, jak to z namiętnych walk partji na pióra i oręże łatwo widzieć się daje. Namiętność zaś a nawet entuzjazm, są zawsze oznaką braku zrozumienia bronionych przez się zasad, i wywięzują w koniecznem następstwie radykalizm i nieumiarkowanie, te zaś, ze swéj strony terroryzują całe państwo i burzą z gruntu wszelką wolność. Pośród bogactwa poruszonych kwestji nie zapomniał wiek XVI. ani o wolności socjalnéj, ani o wolności sumienia, ani też o staraniach zjednoczenia w państwie rozbitych partykularyzmem sił. Wszelkie te jednak starania żadnego owocu wydać nie mogły, a to nietylko dla tego, iż pomiędzy skrajnie wojującemi partjami, t. j. między partją królewską a ludową, żadnego nie było łącznika, ale też przedewszystkiem dla tego, iż całą ciężkość sił absorbowały partje religijne. Partje te nietylko pociągały za sobą wszelkie inne stronnictwa, nietylko decydowały w praktyce, ale nawet w teorji politycznéj. W literaturze politycznéj tego wieku nie napotykamy, z wyjątkiem Bodina, ani empirycznego ani spekulatywnego traktowania ustroju całości politycznéj lub czynności, znamionujących życie państwowe i prowadzących ku celom społecznym, bynajmniéj, wszystko tam nosi piętno interesu partji, która niezawsze mogąc znaleść podporę u zwierzchniéj władzy, starała się ją podkopać wystawianiem zasady zwierzchności ludowéj, i tak dopiero zagrożoną, na swoją przechylić stronę. Jedna tylko partja polityków umiarkowanych z L'Hopitalem i de la Noue na czele tak celu, jak i natury państwa najzupełniéj świadomą była; celem téj partji było zreorganizowanie władzy królewskiéj, dla nadania państwu siły i powagi, zaprowadzenie zaś wolności religijnéj, dla ustalenia pokoju, porządku i umiarkowania. Genialny zaiste zamiar, doprowadzony do skutku oszczędziłby niewątpliwie społeczeństwu dwieście lat barbarzyństwa i rzezi rewolucyjnych, a postawiłby nas już oddawna w posiadaniu tych wolności, jakich dziś jeszcze niewszędzie używamy. Nieszczęściem głos polityków umiarkowanych przebrzmiał niesłyszany pośród groźnéj burzy, a władza królewska stając się zwolna panem sytuacji, zmuszana poniekąd niebezpieczeństwami grożących zewsząd wojen religijnych, stawała się coraz groźniejszą wolności, aż duch absolutyzmu znalazłszy w osobie Ludwika XIV. godnego siebie reprezentanta, powiedział: „l'etat c'est moi“. Daléj już iść nie było podobieństwa. Od tego czasu obie idee powzięte w XVI. wieku, t. j. idea monarchji absolutnéj i równie destruktywna idea absolutnéj zwierzchności ludu, zwolna potykać się zaczynają. Idea monarchji nieograniczonéj Bodina, doprowadzona do ostateczności teorją Hobbesa i Bossueta, praktyką Ludwika XIV. i rządem, a raczéj nierządem partji towarzyskich u tronu Ludwika XV., zbankrutować musiała tak dobrze, jak to zrobiły idee zwierzchności ludowéj Languetta, Lockego i Rousseau, obie bowiem nosiły od poczęcia zaród śmiertelnéj choroby, nazywającéj się bezwzględnością, któréj życie organiczne znosić nie może. Obie te idee stoczyły śmiertelną walkę na bruku Paryża, i obu śmierć dostała się w udziale. Silny gmach monarchji konstytucyjnéj, uwzględniający panujące stosunki, dający organicznemu jestestwu państwa rozumnie objawiającą się wolę i stosownie do niéj występujący czyn, na krwawem bojowisku założył swą podwalinę, i dzięki usilnym badaniom nauki i uczciwym, umiarkowanym zabiegom ludzi dobréj woli, coraz to wyżéj w dziedzinę rozumu i prawdy wznosi swe potężne ramiona.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Przegląd literacki.

O dramatach Tołstoja.

Ażeby ułatwić pojęcie niniejszego rozbioru, tym zwłaszcza czytelnikom, którzy trylogji Tołstego czytać nie mieli sposobności, musimy w kilku choć słowach skreślić wypadki dziejowe, które utworom tym za treść posłużyły. Car, Iwan IV, dla zwierzęcego prawdziwie okrucieństwa przydomkiem Srogiego obdarzony, przy końcu swojego życia Rosją do nader smutnego doprowadza stanu. Dzielnice zachodnie Batory, król polski, podbija, na północy Szwedzi zbrojnie wtargnęli do kraju, han z hordą idzie na Moskwę, na południu podbite plemiona Tatarów groźne podnoszą bunty, zdziesiątkowane wojska ustępują przemocy, w kraju głód i pomór się szerzy, w gronie bojarów zawiści, niezgody, brak ludzi energicznych i zdatnych, — słowem rozprzężenie zupełne. Wśród takich to okoliczności zyskuje nad rozpustą przyciemnionym umysłem Iwana coraz to większą przewagę kniaź Borys Godunow, szwagier Fiodora carewicza, człowiek czynny, zdolny i pełen nienasyconéj ambicji. Bez względu na środki wszelkie usuwa przeszkody, podstępnie i zgrabnie zyskuje zaufanie Iwana, i w chwili śmierci tegoż wszechwładne ma wpływy u dworu. Jako szwagier i doradzca słabego cara Fiodora nieograniczoną posiadając władzę, ratuje kraj od upadku i mając środki w ręku, postawia sobie za cel wydźwignąć Rosją z barbarzyństwa, złączyć ją z resztą Europy, i wznosząc jéj potęgę i znaczenie, dać jéj wpływ na losy narodów. Ale w urzeczywistnieniu tych zamiarów na silne natrafia zapory. Duma i samolubstwo bojarów, słabość carskiego szwagra, który za lada powiewem zmienia uczucia i myśli, nieprzyjaźń ludu podburzanego przez możnych, oto przeszkody, z któremi walczyć mu trzeba, na których bezustannem zwalczaniu upływa czas drogocenny. Borys przekonuje się wreszcie, iż chcąc myśl swoją kiedykolwiek przyprowadzić do skutku, trzeba mu być niezależnym zupełnie, trzeba mieć władzę opartą na prawie, i pozyskać berło i carską koronę. Fiodor jest wprawdzie bezdzietnym, ale brat jego, Dymitr, żyje i tron odziedziczy. Borys nie zawahał się jednak; nóż mordercy zakończył życie Dymitra, — Borys w lat kilka zasiadł na tronie rosyjskim. Mając nareszcie rozwiązane ręce, z całą energją zdążać zaczyna ku celom, którym życie swoje poświęcił. Nieprzyjaciele Rosji zgnębieni i upokorzeni, wpływ jéj ustalony w Europie i Azji, w kraju dobrobyt i pokój, — oto owoce siedmioletniego panowania Borysa. Ale zbrodnia, na któréj spoczywa to dzieło, chociaż późno, wydaje owoce. Nieprzyjaciele obranego cara, szerzą przeciw niemu niechęć między ludem, któremu dla dobra kraju niejedne odjęto swobody, który z niechęcią spogląda na zbiegających zewsząd cudzoziemców, na pogardę narodowych ustaw i zwyczajów, na wzmagające się wpływy obczyzny. Tymczasem zjawia się niespodzianie zamordowany Dymitr Iwanowicz, wieść o zamierzonéj, lecz niewykonanéj zbrodni Godunowa lotem błyskawicy obiega po kraju, lud zapalony wiarą i niechęcią, zbiega pod sztandary Samozwańca, Polska dłoń mu podaje pomocną, nawet wojska i bojarzy przechodzą na jego stronę, mniemany Dymitr jako zbawca zewsząd witany, zbliża się pod mury stolicy, — a Borys opuszczony przez wszystkich, samobójstwem życie zakończa. — Temi kilku słowy skreślone wypadki posłużyły rosyjskiemu poecie za treść do historycznéj trylogji. Pierwszy dramat p. t.: „Śmierć Iwana Groźnego“ przedstawia nam ostatnie chwile tego władzy, a raczéj przedstawia nam Borysa, walczącego o znaczenie i władzę z partją Nagich, szwagrów carskich i zwycięztwo jego zupełne w chwili nagłéj śmierci Iwana, drugi p. t. „Car Fiodor Iwanowicz“ okazuje nam go, w imieniu niedołężnego szwagra całem rządzącego państwem, lecz silną znajdującego zaporę w samolubnych dążeniach bojarów, na których czele stoi potężna partja kniaziów Szujskich, w niechęci i ciemnocie prostego ludu, i zwycięztwo Borysa uwieńczone gwałtowną śmiercią Iwana Szujskiego i małego Dymitra carewicza, a w trzecim wreszcie, który nosi tytuł: „Car Borys Fiodorowicz“ widzimy Godunowa carską dźwigającego koronę, widzimy wielkie i szlachetne jego dążności, zwichnięte owocami zbrodni, walkę z Dymitrem Samozwańcem. — Trzy te dramata, jedną stanowiące całość, są ściśle historycznemi dramatami. Tłomacz ich polski, a za nim i krytyka nasza pragną im tendencyjne nadać znaczenie. Jeżeli naukę, jaką z przedstawionych nam przez poetę wypadków historycznych czytelnik wynieść powinien, tendencją nazwać możemy, natenczas trylogji téj słusznie przypisać ją trzeba, wynika z niéj bowiem nauka, iż cel dobry złych nie uświęca środków, iż ze złego zasiewu złe tylko zbierać można owoce. Ale tym podobne nauki już w samych leżą wypadkach i tym sposobem w każdym dramacie historycznym, jako w wiernéj ich kopji, zawarte być muszą; nie poeta, lecz dzieje dają nam naukę, a poeta o tyle jest tendencyjnym, o ile w stosownych okolicznościach stosowne wybiera temata. Bezwątpienia sam wybór wypadków, które Tołstoj skreślił w swych utworach, nauka, jaka z nich wypływa, dzisiejszéj Rosji przydatną być może, ale tendencja poety leży tylko w napisaniu i wydaniu tych dramatów, które same w sobie, bez względu na cele i skutki, jakie mieć mogą, są ściśle historycznemi, i jako takie tylko rozbieranemi być winny. Dramat histor. odpowiedzieć winien podwójnym wymaganiom: nasamprzód jako dramat, a po drugie jako dramat historyczny. Jako dramat powinien w odtworzeniu charakterów, w rozwoju akcji, w scenicznym układzie, odpowiedzieć wszystkim żądaniom sztuki, jako dramat historyczny, powinien, o ile na to scena zezwala, być relacją niejako dziejowych wypadków, wierną kopją ludzi, stosunków, zwyczajów, słowem całéj fizjonomji téj epoki, którą nam odtworzyć zamierza. Poeta z wszelką ścisłością odtworzył nam dzieje ówczesne, przedstawił nam stosunki i ludzi tego wieku z właściwemi ich dążnościami i wadami, dotknął gdzieniegdzie specjalnych téj epoki zwyczajów, ale czy się umiał przenieść zupełnie w te czasy, czy umiał odtworzyć i przelać w swe twory ich ducha, nadać im barwę i cechę stosowną, czy temu najwyższemu i najtrudniejszemu odpowiedział zadaniu, tego my z polskiego przekładu nie możemy rozstrzygnąć. Jeżeli w oryginale duch ten i barwa się objawia, natenczas dramata Tołstoja, jako dramata historyczne, wyjąwszy drobniejszych usterek z wykonania pochodzących, nic nie pozostawiają do życzenia. Usterki te później poznamy. — W rozbiorze dramatów Tołstoja, jako dramatów, bez względu na cechę ich historyczną, na charaktery osób działających głównie zwrócimy uwagę. Autor w tym względzie jest mistrzem, i śmiało można powiedzieć, niewiele niżéj stoi od Szekspira. Każda ze stworzonych przez niego postaci ma swój odrębny charakter, najmniéj nawet znacząca ma pewne cechy indywidualne, a w skreśleniu głównych charakterów doszedł autor do niezrównanego artyzmu, spostrzegawczym duchem tak wiele nagromadził prawdy, iż niejednokrotnie przez mniéj bacznych i mniéj doświadczonych krytyków o niekonsekwencją posądzonym został. — Główną postacią, która w całéj występuje trylogji, jest Borys Fiodorowicz Godunow. Pod względem charakteru Godunowa dotychczasowe krytyki polskie najmniéj są dokładne i jasne. Sam tłomacz, w przemowie do ostatniéj części trylogji, przedstawia go całkiém fałszywie. Przedstawia on go jako człowieka nienasyconéj ambicji, który śle-

pem, samolubnem pragnieniem władzy wiedziony, pod płaszczykiem dobra swego kraju, podstępem, obłudą, gwałtami i zbrodnią dochodzi do celu swych życzeń. Taki charakter byłby odstraszającym, przejmowałby czytelników zgrozą i oburzeniem, jak niem przejmuje charakter Ryszarda III-go; tymczasem nietakie wrażenie czyni na nas postać Borysa. Borys przestrasza nas wprawdzie, lecz przestrasza swoją wielkością, imponuje nam ogromem swoich zdolności, niezłomną potęgą woli, bezwzględności w wyborze swych środków. W rzeczy saméj nazwać go musimy zbrodniarzem, lecz w głębi serca czujemy dlań zawsze szacunek, podziwienie i pewien rodzaj pełnego obawy współczucia. Podziwiamy go jako człowieka, uwielbiamy cel, do którego zdąża, ale żałować musimy obłąkania, które go na tak zgubną popchnęło drogę, tak wstrętnych kazało mu się uchwycić środków. Takiem wrażeniem przejmuje nas charakter Borysa, a więc musi być w tym charakterze pewien pierwiastek dobry, szlachetny. Pierwiastek ten jest główną cechą charakteru Borysa, cechą, któréj tylko uprzedzenie dostrzedz i uwzględnić nie umie. Borys jest pełen ambicji, ale ambicja ta do wielkiego zdąża tylko celu, — do uszczęśliwienia ojczyzny. Miłość kraju nie jest bynajmniéj płaszczykiem samolubne ukrywającym zamysły, ale jest prawdziwem, gorącem uczuciem w sercu Godunowa, sprężyną kierującą wszelkiemi jego krokami. Geneza tego uczucia jasną jest w pierwszym dramacie. Borys wstępuje do grona bojarów, przybywa na dwór carski wśród strasznych dla kraju okoliczności, w czasie kiedy wojenne zastępy nieprzyjaciół z czterech stron wtargnęły do Rosji, szerząc śmierć, pożogę i zniszczenie, kiedy pomory i głody cały kraj zamieniają w pustynię. Wśród takich stosunków znajduje Borys zbrodniarza i szaleńca na tronie, znajduje w radzie bojarów, którzy zamiast myśleć o uszczęśliwieniu ojczyzny, między sobą walczą o władzę, i nieszczęście kraju dla własnych wyzyskują celów. Wrodzona miłość ojczyzny zamienia się w sercu Borysa w święte, gorące pragnienie podniesienia jéj z nieszczęść i upadku. Borys czuje się jedynie zdolnym i godnym do spełnienia tak wielkiego zadania, czuje, iż mu dojść trzeba do najwyższéj godności i władzy, zgnieść wszystkich stojących na przeszkodzie, czuje, iż własna potęga jest niezbędnym dla szczęścia ojczyzny warunkiem. Miłość kraju i pragnienie władzy w jedno się teraz złączyły uczucie. Borys dla osiągnienia swych celów nie odrazu chwyta się złych środków, pragnie prostą postępować drogą. Odważa się Carowi wytknąć jego szaleństwa i błędy, prosić dla szczęścia Rosji o zaniechanie osobistych pragnień. Odpowiedzią jest groźba śmierci, niełaska kniazia Zacharyna, i ścięta głowa Sickiego, upadek dwóch mężów, którzy również prostą postępowali drogą, a tryumf Nagich, owéj partji nikczemnych samolubów. Borys przekonawszy się dostatecznie, dokąd go prosta poprowadzi droga, postanawia fałszem walczyć przeciw fałszom, zbrodnią przeciw zbrodni. „Postąpiłem jak baba“, powiada „jak dziecko, jak głupiec. Otóż to prosta droga, którą mi iść Zacharyn zalecał. Na pierwszym już kroku władza carska jak murem, odzieliła mnie od niéj. Łatwo ci iść prostą drogą, Nikito Romanowiczu, nie wytknąłeś sobie żadnego szczytnego celu, spokojnie i z cichą tęsknotą na ten świat spoglądasz. Moja zaś dusza żądna walki i czynów. Widzieć zatargi, podstępy, samowolę i tém się pocieszać, żem z nich wyszedł bez zmazy, to mi za mało, na tem poprzestać nie mogę.“ A więc okoliczności, żelazna tylko konieczność na drogę zbrodni go popchnęła, a na téj drodze jest on równie wielkim, równie wzbudzającym podziwienie, jakim byłby zapewne, gdyby mu stosunki drogą prostą iść zezwoliły. Z niezłomną wolą, energją i niezmordowaną czynnością podąża do celu, nie uchylając się przed żadną straszną koniecznością, nie wahając się we wyborze środków. Wstąpiwszy raz na drogę występku, nie myśli się cofać, postępuje bez drżenia do ostatecznych jéj krańców; od fałszu i podstępu dochodzi do gwałtu przeciw partji swoich przeciwników, od przemocy do morderstwa niewinnego dziecka, zawsze z równą odwagą, z równą pewnością i spokojem. Czuje, iż jest zbrodniarzem, ale jest nim bez żalu, bez obawy, bo zbrodnia do wielkiego prowadzi go celu. „Wyznaję grzech mój, ale czuję, iż przezeń Ruś stała się wielką!“, powiada, zasiadłszy nareszcie na tronie. Krytyka zamieszczona w Tygodniu zarzuca poecie, iż w ostatniéj części trylogji niekonsekwentnie przeprowadził charakter Borysa. Borys tak silny, tak pewny siebie, tak czynny, tak płodny w wielkie pomysły tam, gdzie o zyskanie władzy chodziło, staje się nagle, stając na szczycie swojéj potęgi, mając wojska, bogactwa i kraj cały na swoje rozkazy, słabym, bojaźliwym, nieczynnym, nie umie władzy swéj z takim zdobytéj trudem, obronić i ocalić przeciw prostéj bandzie buntowników, nieprzyjacielską wspartych pomocą. Jestto jeden z tych punktów, gdzie poeta w malowaniu charakterów tak jest prawdziwym, iż go mniéj doświadczeni o niekonsekwencją posądzić mogą. Poeta jest tu bardzo konsekwentnym. Dopóki Borys walczył dla wielkiego celu, dopóty świadomość tego nadawała mu energji i pewności, usprawiedliwiała w oczach jego zbrodnie i występki. Teraz cel jest osiągnięty, ale Borys grzech swój wyznaje, czuje się zawsze zbrodniarzem; dopóki postępował drogą występku, łudził się zawsze nadzieją, iż cel święty w oczach Boga uświęci i zgładzi jego zbrodnie, i nadzieja ta krzepiła jego męztwo, ale pierwszy odgłos zbliżającéj się kary rozwiał i w niwecz usunął jednę z wielkich podpór jego ducha. Borys rzuca się wprawdzie do walki, ale rzuca się z tem przekonaniem, iż walczy przeciw nieuniknionéj sprawiedliwości Najwyższego, przeciw owocom własnego występku, i to poczucie odbiera mu odwagę, zachwiewa siłę jego woli, zaciemnia bystrość umysłu. „Bóg karze fałsz, ze złego tylko złe się rodzi“ powiada Borys, konając, „Wszystko jedno, czy dla siebie, czy dla państwa niem się posługujemy, nigdy ono nikomu na pożytek wyjść nie może.“ Myśl ta z pewnością obudziła się w jego umyśle za pierwszym odgłosem walki, i upadku jego stała się przyczyną. — Nie możemy jednak zaprzeczyć, iż poeta w znacznéj części przyczynił się do powstania tego zarzutu; w jaki sposób? — poznamy niedługo. Zarzucają wreszcie poecie, iż charakter Borysa zbyt jest jednostronnym, iż go widzimy tylko w jego stosunku do państwa. Zarzut ten jest również niesłusznym. Borys bowiem swéj myśli poświęcił się zupełnie, cały żywot jego dąży do jéj urzeczywistnienia, syna swego kocha dla tego, iż tron swój, zamysły swoje jemu pozostawić ma w spadku, córką zajmuje się dla tego, iż przez zamęzcie jéj zyska Rosji potężnego na północy sprzymierzeńca, siostrę kocha, bo przez nią nad słabym Fiodorem władzę pozyskał zupełną, z żoną żyje w widocznéj niezgodzie, bo wczemże ona do urzeczywistnienia planów jego przyczynić się może, ona, córka równego mu kniazia? Jednostronność ta wynika z charakteru Borysa, jest całkiem naturalną i jasną. —

(Dokończenie nastąpi.)

Skrzynka do listów.

Panu A... Ka... w Berlinie: Dziękujemy za nadesłaną nam pracę — wydrukujemy.

Pana K... Krzyżanowskiego w Monachium prosimy powtórnie o przyobiecane próbki.

Panu J... Oss... w M...: Numer dziewiąty Tygodnika oddany został na tutejszéj poczcie dnia 25 lutego. Zażalenie nasze do Głównego Zarządu poczty wykaże, w którym urzędzie pocztowym zakradł się nieład, — i niezawodnie zapobieży w przyszłości podobnym nieregularnościom.

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu.